

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa, 16 czerwca 1946 r.

Nr. 23 (29)

Witold Bienkowski

Rozważania polityczne 3

Odpowiadam na głosy opinii

Wśród wielu listów nadchodzących do redakcji znajdują się i takie, które są wynikiem niemałego trudu naszych korespondentów. Są to listy—rozprawy, listy-memoriały, kilkunastostronicowe prace analityczne i krytyczne.

W listach tych znajduję osobiście wiele trafnych uwag, związanych z moimi artykułami, oraz wiele prób dania odpowiedzi na interesujące wszystkich katolików zagadnienia społeczne i polityczne. Nie znając nazwisk i adresów autorów listów najbardziej rzeczowych, a wysoce ceniąc ich wartość merytoryczną — uważam za wskazane odpowiedzieć publicznie. Jednocześnie w imieniu zespołu reakcyjnego dziękuję wszystkim naszym korespondentom za wysiłki dotychczasowe, oraz proszę o dalsze stałe nadsyłanie wszelkich, a przede wszystkim najbardziej krytycznych, uwag.

* * *

To, że trudno jest przyjąć bez zastrzeżeń postawę zespołu „Dziś i jutro” jest przede wszystkim wiadome nam samym. Uważamy bowiem, że jesteśmy trudną do rozwiązania zagadką dla tych, którzy, przyzwyczajeni do rebusów politycznych, usiłują ją rozwiązywać systemem krzyżówkowym. A że za podstawianie istotnych jakoby znaczeń pod nasze wypowiedzi nie bierzemy żadnej odpowiedzialności — stąd nieporozumienia. Dla uniknięcia ich wystarczy przyjmować nasze wypowiedzi tak prosto, jak je podajemy. Uniknie się wówczas błędnego czytania między wierszami, problem „wodzostwa” i „faszyzmu” przejdzie w opinii o nas tak samo do rekwizytów, jak przeszedł już dawno u tej części naszego zespołu, która była związana z przedwojenną „Falangą”, a różne podejrzenia o zakulisowych machinacjach politycznych grupy „Dziś i Jutra” okażą się śmieszne w tym samym stopniu, w jakim my poprostu stwierdzamy naszą mniej niż znikomą rolę w obecnym życiu politycznym kraju.

Chodzi o problemy istotniejsze. o te problemy, w rozwiązywaniu których przywiązujemy dużą wagę do naszych możliwości twórczych. O ten kierunek myślenia ideologicznego i politycznego, w którym czujemy się rzeczywiście ważni, a chcemy być niezbędni.

Istnieją zasadnicze nieporozumienia między głosami opinii a nami, polegające na tym, że dla głoszonego przez nas pojęcia radykalizmu katolickiego poszukuje się jakichś polityczno-organizacyjnych, jakoby już u nas istniejących, form. Tym niemniej właśnie to zagadnienie nazwe istotnym i konkretnym dla naszych zainteresowań i twórczej pracy.

Nie potrafię odpowiedzieć nikomu na stawiane mi pytania „o jakich katolikach radykalnych myślę i gdzie oni są”, jeśli wiem, że pytania tego rodzaju są wywołane zaciekawieniem wyłącznie typu politycznego. Potrafię na takie pytanie odpowiedzieć każdemu, kto przeżywa wewnętrzną potrzebę rozumnej i realnej walki o zwycięstwo katolicyzmu w epoce, którą każdy przytomny nową nazywa.

* * *

Katolicyzm w dogmatach wiary, prawach moralnych i zasadach społecznych zawsze jest jeden i zawsze ten sam. Jest niewymierny w czasie i w wieczności — wymierny w przestrzeni życia doczesnego. W doczesnej wymiarności przeżywa wloty i upadki, zdobywa jedne — opuszcza inne kraje. Klęska człowieka czy klęska

narodu odchodzącego od katolicyzmu nie jest klęską katolicyzmu. Natomiast każde zwycięstwo człowieka i każde zwycięstwo narodu zbliżającego się do Boga jest zwycięstwem katolicyzmu. Gdyż nie tryumf Kościoła walczącego w jego wymiarze doczesnym jest celem walki, ale tryumf Boga w całej jego niewymierności wyznacza zadania. Wydaje się przeto, że nie jest pograniczem herezji stwierdzenie, iż czasy trudne stwarzają lepsze warunki dla rozwoju życia katolickiego, dla pogłębienia i realizowania tryumfu Boga w Kościele panującego. Gdyby nie było prześladowań — nie byłoby wielu świętych, gdyby Kościół został uwolniony od trudności zewnętrznych — nie byłby Kościołem w pełni walczącym. Czasy trudne to czasy pogłębienia życia religijnego, to możliwość zwycięstwa katolicyzmu w nim samym i przez niego.

Zadania czasów trudnych zmuszają do specjalnych wysiłków. Formująca się w nich postawa wykształca specjalny typ człowieka, który walczy świadomie, realnie ocenia rzeczywistość, mobilizuje do walki wszystkie posiadane atuty, a od organizacji społecznej wymaga maksymalistycznego programu, oraz taktyki umożliwiającej jego jak najpełniejszą realizację.

Typ katolika radykalnego nie da się wymierzyć jedynie jego radykalizmem społecznym. Toteż błędnym jest oczekiwanie, że radykalizm społeczny pewnej części katolików wystarczy do utworzenia firmy politycznej i że polityczny szyld katolików radykalnych może mieć wpływ na wyznaczenie roli katolicyzmu w życiu społecznym.

Myli się „Kuznica”, gdy oceniając pozytywnie jeden z moich artykułów, stwierdza istniejące rozbieżności wśród katolików polskich — myli się „Głos Katolicki”, gdy w artykule Eugeniusza Myczki zarzuca mi chęć reformizmu, graniczącego z herezją Lutera.

Katolicyzm radykalny bowiem nie byłby katolicyzmem wogóle, gdyby w wykonypowanej, choćby w najlepszej nawet wierze, teorii społecznej miał na celu przede wszystkim osiągnięcia polityczne, zapominając o celu któremu służy, a którym jest tryumf ostateczny, niewymierny ani w czasie, ani w przestrzeni.

Typ katolika radykalnego, to typ człowieka, dla którego wszystkie dziedziny życia — od moralnej do społecznej — są terenem walki o zwycięstwo Boga. Reformy moralne, tak jak i reformy społeczne, w myśl katolickiego prawa moralnego i katolickich zasad społecznych stanowią łącznie o zainteresowaniach i zadaniach t. zw. katolika radykalnego. A chociaż tego rodzaju reformy, które są niczym innym jak obowiązkiem konsekwentnego życia z wiary, dotyczą każdego katolika — katolik radykalny jest tym, który w czasach specjalnie trudnych i przy specjalnie zwiększonych obowiązkach reprezentuje świadomość walki w jej konsekwencjach: zwycięstwie lub klęsce.

Gdzie są katolicy radykalni? Napewno nie w żadnej partii politycznej z przymiotnikiem „katolicka” i napewno nie w żadnej organizacji, która w taktyce politycznej godzi się na kompromis między maksymalistycznym programem a minimalizmem osiągnięć.

Katolicy radykalni mogą być tylko tam, gdzie istnieje szansa możliwie najpełniej-

szego osiągnięcia znaczenia i wpływu dla katolickiego światopoglądu, praw i zasad.

A jeśli miejsce katolików radykalnych w życiu społecznym nie może posiadać właściwego znaczenia politycznego — znaczenia współtwórców układu sił politycznych — katolicy radykalni, właśnie z powodu swego radykalizmu, wyznaczają sobie sami rolę czynnika czasowo pozapolitycznego. Jest to rola usprawiedliwiona w tym okresie czasu, w którym duża część sił katolickich w Polsce wyczekuje jakichś rozwiązań, których ani z nazwy, ani ze znaczenia realnie określić nie potrafi.

Aby nie było dodatkowych nieporozumień, muszę stwierdzić, że np. reakcja „Kuznicy” na artykuł Dobraczyńskiego „Znaki czasu”, wyrażająca się w pytaniu czy katolicy radykalni nie widzą dla siebie innych znaków czasu poza „misticznymi” — jest reakcją naiwną, gdyż sądzi, że jakikolwiek, choćby najbardziej krańcowy, radykalizm społeczny może wykreślić z pojęć katolika wiarę w Objawienie i gorętszą miłość Boga za łaskę zjawisk nadprzyrodzonych.

* * *

Cenię przeciwnika, który ma odwagę powiedzieć wprost, iż razi go ów katolicyzm. Skłonny jest cenić moją postawę społeczną, skłonny jest uznać za pozytywne takie lub inne moje oświetlenie aktualnych spraw politycznych — nie może natomiast darować mi mego katolicyzmu, w którym poprostu i krótko widzi... „determinizm”.

Nie cenię przeciwnika, który nie ma cywilnej odwagi przyznać się do braku realizmu politycznego, gdyż widzi możliwość wyeliminowania katolicyzmu z grona czynników, mających bezpośredni wpływ na układ stosunków politycznych w Polsce.

W poprzednich moich artykułach dałem niejednokrotnie wyraz mojej osobistej opinii, że nie ma takiej sytuacji społecznej i politycznej, która by usprawiedliwiała niechęć do obecności społecznej i politycznej katolików. Twierdziłem ponadto, że w obecnych warunkach istnieje możliwość współudziału katolików w tworzeniu nowej rzeczywistości. Ponadto rację państwową stawiałem jako nadrzędną nad interesami partii politycznych, oraz wyrażałem pogląd, że racja ta obowiązuje przede wszystkim katolików.

Tego rodzaju opinie były powodem największej ilości nieporozumień między „Dziś i Jutra”, a częścią katolickiej opinii społecznej.

W wielu zarzutach twierdzono, iż nie może być współpracy tam, gdzie istnieje zasadnicza walka ideologiczna.

Groteskowość tych zarzutów polega na tym, że afirmuje się z góry własny kompleks niższości wobec obserwowanych politycznych osiągnięć marksizmu. Zapomnia się o tym, że istnieje obowiązek walki o wpływ katolicyzmu na politykę państwową i że nie ma usprawiedliwienia dla milczenia tam, gdzie trzeba wyraźnie przeciwstawić się polityce tych partii, które, jak wszystkie inne zresztą, nie mają monopolu na stanowienie o losach państwa.

Jeśli „Robotnik” w krótkiej notatce p. t. „P. I. W. i M. R. P.” zapytuje co ma wspólnego Państwowy Instytut Wydawniczy z broszurą omawiającą zagadnienia katolickie — odpowiedzieć trzeba natychmiast i głośno, że publicysta „Ro-

botnika” źle służy państwu, gdy usiłuje instytucję państwową odseparować od poruszania tych zagadnień, które interesują większość obywateli państwa.

Jeśli wypowiedzi partii marksistowskich i ich metody działania propagandowego usiłują przekonać społeczeństwo, że tylko światopogląd marksowski gwarantuje utrwalenie ustroju demokratycznego — rolą katolików jest przekonać społeczeństwo, że partie te nie mają racji, gdyż wyznawcy światopoglądu chrześcijańskiego, nie dającego się pogodzić z marksowskim, mogą być nie gorszymi gwarantami demokracji od najlepszych marksistów.

Sprawa realnego i uczciwego spojrzenia na rzeczywistość społeczną obowiązuje katolików przede wszystkim. Wyrażne nazwanie złego złym, a dobrego dobrym winno obowiązywać katolików w stosunku do wszystkich osiągnięć własnych i cudzych. Jeśli radykalizm społeczny, czerpiący swą siłę z katolickich zasad społecznych, pragnie reform i rewolucyjnych przemian — nie może ich przestać pragnąć w pewnym okresie tylko dlatego, że reformy te realizują przeciwnicy ideologiczni. Jeśli metody ich realizacji są złe i sprzeczne z katolickimi zasadami moralnymi czy społecznymi — obowiązkiem katolików jest zmobilizować własny wysiłek dla podjęcia prób skierowania koniecznych reform na właściwsze, podług katolików, drogi ich realizacji. Zastanianie się względami politycznymi będzie zawsze przerostem taktyki lub chęcią tryumfu w wymiarach zbyt bliskich, aby je można było nazwać rzetelnymi katolickimi.

Jestem przekonany, że wśród marksistów jest niewiele takich, którzy nie zdają sobie sprawy z roli i znaczenia katolicyzmu. Jestem również przekonany, że wśród marksistów jest wielu, którzy rację państwową stawiają ponad interesami partii.

Radykalna postawa społeczna katolików, jako zgodna z czasami koniecznych reform, jest i musi być jednym z najważniejszych czynników budowy nowej rzeczywistości.

Odpowiedzialność za ewentualną klęskę nie wniesienia ideologii katolickiej do nowej rzeczywistości społecznej Polski i świata obciąża przede wszystkim tych, dla których przeszkody polityczne lub chęć przedwczesnego tryumfu stanowią obciążenie i zapory w pracy.

* * *

Podjęte przez zespół „Dziś i Jutra” zadania wytworzenia katolickiego radykalnego ruchu społecznego nie rozbijają katolickiej jedności społecznej. Zespół „Dziś i Jutra” nie reprezentuje organizacji społecznej i nie posiada w tej chwili siły politycznej. Jeśli sprzeciwia się jakimś inicjatywom społecznym katolików — to tylko tym, które nie widzą konieczności i obowiązku kroczenia naprzód, tkwią w miejscu i oglądają się wstecz. Ruchy katolickie, które znalazły się na „drugim brzegu”, które weszły w nową erę obecnej i przyszłej rzeczywistości, nie mają w nas przeciwników. Uznaniem nasze dla osiągnięć np. „Unii” nie potrzebuje wyrażać się w dytyrambach słownych.

Głosy opinii pomawiają np. mnie o niechęć do Stronnictwa Pracy. Moja „niechęć“ jest dla Stronnictwa czymś tak drobnym, że megalomanią byłoby o niej wspominać, gdyby w pewnym stopniu nie była uzasadnioną troską o właściwe spełnianie roli przez katolicyzm społeczny w Polsce. Lękam się przesteru taktyki politycznej nad celami stojącymi przed katolicyzmem. Nie rozumiem kompromisu z akatolickim „Zrywem“, nie rozumiem wyraźnie zakreślonej i spełnianej roli politycznej Stronnictwa bez wpływu na koniunkturę polityczną, na zapewnie-

nie katolikom bardziej ważkiego głosu w sprawach zasadniczych.

Zcimentowanie sił katolickich jest możliwe. A jest konieczne. Gdyby jednak zastanowić się nad tym, czy osiągnięcia polityczne mogą wyprzedzać osiągnięcia wewnętrznie koncepcyjne, dla sprawy i siły katolickiej istotne — trzeba by odpowiedzieć negatywnie. Jeśli osiągnięcia polityczne tego typu miałyby być zdobyte za każdą cenę — odpowiedzieć trzeba: za żadną cenę. Katolicyzm nie przyjmie wyznaczonej mu roli. Katolicyzm Polaków radykalnych jest świadom-

my swej siły i znaczenia. Rolę ma wyznaczoną dawno: — służyć Bogu i Ojczyźnie. Służba zaś Ojczyźnie nie wyraża się w oczekiwaniu cudzych rozwiązań — wyraża się pragnieniem walki o sprawiedliwość społeczną i potęgę państwa. A to jest udziałem wszystkich uczciwych Polaków, stawiających dobro państwa ponad dobrem partii, a zatem widzących własną siłę, „ale szanujących cudze ideały i przekonania, byleby służyły one istotnemu postępowi: — panowaniu ładu i sprawiedliwości.

Witold Bienkowski

Andrzej Krasieński

Idea narodowa

Trzeba uznać za niezrozumiałe i szkodziące, że dotychczas powojenna publicystyka polska nie poruszyła rzeczowo zagadnienia nacjonalizmu. Zarzut ten dotyczy zarówno wrogów nacjonalizmu, którzy w krytyce ograniczyli się do epitetów i inwektyw, jak i tych licznych, których przekonania i poglądy kształtowały się pod wpływem idei narodowej, a którzy nie zdołali dotychczas przełamać trudności podjęcia tego tematu. Opublikowany w świątecznym numerze „Tygodnika Warszawskiego“ artykuł Stanisława Kozickiego p.t. „Nacjonalizm i Imperializm“ — przerwał to milczenie i sądzę, że można oczekiwać, że wypowiedź tego autorytetu publicystycznego zachęci innych pisarzy do zabrania głosu w tej sprawie. Nie trzeba sądzić dowodzić że nieujawniony w pełni, zarówno w czasach pomajowych, jak i obecnych, wpływ, jaki idea narodowa wywierała na umysły dużej części społeczeństwa polskiego nie zostanie wyeliminowany ani zwalczony przez przemilczenie tej kwestii. Mimo dynamizmu i sukcesów wrogów nacjonalizmu, mimo błędów i zbrodni części jego wyznawców i barbarzyńskich przykładów wynaturzeń, nie sposób zapomnieć, jak bardzo ideały narodowe różniczkują ludzkość — jednocześnie ją wzbogacają.

Idea narodowa będąca dzieckiem Wielkiej Rewolucji Francuskiej, wychowanym przez wiek XIX, musi dojrzeć i ulec gruntownym przemianom, by znaleźć miejsce w dzisiejszym świecie. Wymaga ona, jak każda idea, nieustannego wysiłku twórczego, który jest nieodzownym warunkiem jej życia i trwałości.

W wyniku niedawnych tragicznych doświadczeń i przeżyć rodzi się dziś w umysłach i sercach polskich nowy stosunek do narodu, nowe wyznaczające mu zadania i cele. Z tych kielkujących w umysłach zarodków odnowionej i oczyszczonej z błędów idei narodowej wysnuć można już dziś pewne przewidywania odnośnie roli jej w przyszłym świecie.

Powszechnie ubolewa się i krytykuje nasz brak realizmu politycznego, ten usprawiedliwiony krytycyzm nie zda się na nic jeżeli nie uświadomimy sobie źródła tego braku. Nie wystarczy jednak analizowanie genetyki naszego romantyzmu politycznego, trzeba odszukać źródła, które do dziś dnia go zasilają. Twierdzę, że obok innych elementów najważniejszym powodem naszego braku realizmu politycznego jest niepodporządkowanie polskiej racji stanu dobru narodu. Nasz patriotyzm ma cechy staroświeckie, gdyż nie opiera się w dostatecznej mierze na chęci służenia narodowi. Wyrazem tego była lansowana przed wojną t. zw. Idea Państwowa. Poza jej wyznawcami, wielu Polaków dziś jeszcze patriotyzm czuje jako służbę — Państwu. Patriotyzm ten, jak niegdyś za czasów monarchii (służba dynastii) opiera się niemal wyłącznie na honorze i wierności. Niebezpieczeństwa takiego osiemnastowiecznego patriotyzmu są ogromne i nie sposób spodziewać się, by godził się z realizmem politycznym. Pozostając z całym szacunkiem dla poczucia honoru, dziś lepiej niż kiedykolwiek zdajemy sobie sprawę, że w współczesnym świecie nie może on być jedynym czynnikiem kierującym krokami mężów stanu.

Byliśmy w czasie tej wojny świadkami tragicznej sytuacji, w której najgorętszy patriotyzm i heroiczne wysiłki najlepszych synów Polski w rezultacie na szkodę narodu się obracały. Zarówno te daremne ofiary, jak katastrofalne w swych skutkach błędy w polityce między-

narodowej zrodziły się z zawieszenia w próżni polskiej racji stanu i nie podporządkowania jej dobru narodu. Wielu polityków i część społeczeństwa straciło tę niezawodną busolę, która w krętych ścieżkach, piętrzących się trudności politycznych wskazuje właściwy kierunek służby narodowi.

Naród bowiem jest, szczególnie w dzisiejszych czasach, tym elementem, który poprzez przemiany świata, poprzez walki doktrynalne i partyjne, poprzez bankructwa starych i wybujałe fanatyzmy nowych systemów, trwa niewzruszony. wciąż żywy i zmienny, a jednak wieczny ten sam. Dobro narodu, podobnie jak dobro każdego z jego członków, jest pojęciem konkretnym. Jest prosto sumą dóbr duchowych i materialnych, interesów i potrzeb milionów ludzi, jest ocaleniem ich życia możliwością ich pełnego rozwoju, utrzymania więzi społecznej i realizacji wspólnych celów. Dobro narodu. Pobłażliwie traktuje staroświecką retorykę hasła hurra - patriotycznych. Przeciwnie — nieraz wymaga od polityków ustępstw, by zapobiedz większemu złu. Polityka bowiem prawdziwie narodowa nie jest grą — jest reprezentacją i obroną najżywoźniejszych potrzeb milionów ludzi, która nakazuje najdalej posunięty realizm. Trzeba przyznać, ten realizm nie zawsze był przymiotem polityków Obozu Narodowego i społeczeństwo pozostające pod ich wpływem nie było w duchu realizmu wychowywane. Nie obala to jednak tej tezy, świadczy jedynie, że polska idea narodowa nie osiągnęła pełni rozwoju i do wojny oddziaływała na społeczeństwo w formie powiedziałybyśmy prymitywnej.

Idea ta kształtowała się w czasach, w których demokracja daleką jeszcze była od realizacji, a udział szerokich mas spo-

łeczeństwa w współtworzeniu a nawet współwłasności kultury narodowej był znikomy. W tych warunkach zrodzona idea narodowa opierała się niemal wyłącznie na świadomości pokrewieństwa gatunkowego i na niechęci do obcych. To, co winno być co najwyżej ostrożnie używanym środkiem, ułatwiającym narzucenie jednostkom biernym czy nieświadomym prawdziwej treści idei narodowej, wysunęło się na pierwszy plan. Pomieszano pojęcia w dziedzinie środków i celów. Kultura narodowa zeszała do roli środka; mówiono o niej wiele, jednak w dziedzinie faktów triumfował szowinistyczny wrogi obcym nacjonalizm biologiczny. Triumfował w mniejszym stopniu, niż to miało miejsce w innych krajach, w każdym razie jednak nie zdołał się zupełnie uwolnić od sugestii współczesnych mu ruchów obcych. Stało się tak wbrew wbrew twórcom polskiej idei narodowej. Roman Dmowski i jego pokolenie zdawało sobie jednak sprawę z niebezpieczeństw takiego kierunku, nie zdołało jednak okiełzać dynamizmu młodego pokolenia. Jednocześnie nie postępował naprzód proces upowszechnienia kultury narodowej i dla szerokich mas społeczeństwa poczucie wspólnego pochodzenia i niechęć do obcych pozostawała ciągle podstawą poczucia narodowego. Dlatego do tych instynktownych uczuć odwoływali się przywódcy ruchów narodowych, by dla swej idei pozyskać masy.

Na skrzyżowaniu dróg idei narodowej, marksizmu oraz bezideowej myśli państwowej, tworzyły się przekonania młodego pokolenia. Pokolenie to miało przeżyć kataklizm wojny nie szczerzącej gorzkich zawodów i doświadczeń i zmuszającej do rewizji najbardziej wydawało się trwałych poglądów, po to, by dziś

patrzyć lub współdziałać w urządzeniu nowego świata. O ile dawniej nowe idee rodzące się w umysłach myślicieli, powoli rozszerzały się w przekonaniach społeczeństwa i dopiero w wyniku tego procesu ujawniały się w faktach zmieniających oblicze świata, dziś często fakty wyprzedzają przemiany dokonywane się w umysłach oszołomionych i tempem wypadków. Mimo jednak takiego stanu rzeczy, można twierdzić z całą pewnością, że zmiany narzucone przez życie nie poparte uznaniem szerokich mas narodu, nie okażą się trwałe ani twórcze.

W zespole treści składających się na kulturę narodu i tworzących jego przyszłość najważniejsze bodaj miejsce zajmuje stosunek jednostki do narodu. Jest on bowiem wektorem wielu innych wartości kulturalnych. Stosunek ten formuje się w umysłach jako wypadkowa istniejących w społeczeństwie różnych kierunków ideologicznych również i tych, które negują wartość solidarności narodowej.

Zadaniem niniejszej pracy nie jest stworzenie nowej definicji narodu, jego celów i zadań, chciałbym jedynie zwrócić uwagę na zmiany, które zachodzą w pojmowaniu tych pojęć.

Szybkość procesów historycznych i przeobrażenia, jakie świat przeżywa, sprawiły, że idea narodowa w swojej treści uległa poważnym, nie sformułowanym jeszcze, ale dostrzegalnym w umysłach przemianom. Natępienie zaś tej idei wzrosło nie tylko w skutek rozbudzonej przez wojnę niechęci do obcych. Główny tego powód inny, nierównie głębszy i trwalszy. O ile bowiem nacjonalizm swe życie zawdzięcza idei demokracji, to postęp i utrwalanie się jej zdobywcy, musi potęgować znaczenie idei narodowej. Demokratyzacja społeczeństwa sprawia, że pojęcie Ojczyzny nabiera nie mał wyłącznie treści społecznej. Już Mickiewicz w swych wykładach Literatury Słowiańskiej, podkreślając szczególnie dla Polaków rolę patriotyzmu mówi, że w mniemaniu niektórych Polaków: „Ojczyzna jest to przyszły porządek społeczny, który dopiero tworzyć należy“. Dziś pojmujemy w pełni głębią prawdę tkwiącą w tym zdaniu. Patriotyzm bowiem dzisiejszy, będący umiłowa niem całego narodu, stawia przed swymi wyznawcami przede wszystkim zadania społeczne.

Jednocześnie szybko powiększające się uczestnictwo najszerszych mas społeczeństwa w dorobku kultury narodowej i coraz pełniejszy udział w twórczym wysiłku, sprawiają, że poczucie wspólności rasowej przestaje być źródłem świadomości narodowej. Tezę wspólnego pochodzenia „rodaków“ obala nauka a życie przynosi przykłady wchłaniania z pożytkiem dla narodu elementów rasowo różnych. Równocześnie na naszych oczach niemal z najróżniejszych rasowo pni powstają narody osiągające, dzięki wspólnym celom i wspólnej twórczości kulturalnej i cywilizacyjnej, od razu dużą zwartosc i jednolitość. Staje się jasne że naród określa, wbrew pojęciu hordy, nie wspólność pochodzenia, ale przede wszystkim swoista kultura, wspólne cele dziejowe, jego członkiem staje się każdy, kto przyjmie tradycję narodową, jest zdolny ofiarne i bezinteresownie uczestniczyć w wysiłku twórczym narodu. Równocześnie coraz powszechniej budzi się i rozszerza przekonanie, że naród nie może być celem sam w sobie, że celem jego istnienia jest zwiększenie wspólnego udziału w życiu duchowym i materialnym ludzkości. Jednostka bowiem tylko za pośrednictwem narodu może w życiu i twórczym wysiłku ludzkości uczestniczyć. Byłoby jednostronnością twierdzić, że naród określa wyłącznie odrębną kulturę. Dziedziczne cechy rasowe wpływają również na oblicze narodu. Z całą stanowczością jednak można twierdzić, że tym cechom rasowym naród zawdzięcza swe błędy i grzechy, podczas gdy jego cechy pozytywne zostały osiągnięte ofiarami i wysiłkiem wielu pokoleń. Najbogatsze bowiem dary natury zaniedbane i nie rozwijane, staną się źródłem, lub pójdą na służbę zła. Upadek i barbarzyństwo narodu niemieckiego najlepiej ilustrują.

Tragiczne doświadczenia ostatnich lat strują i potwierdzają słuszność tej tezy. Wykazały niezwykle jaskrawo, że nacjonalizm, rozbudzający dążenia imperialistyczne, siejąc wokół zbrodnie i zniszczenia, obraca się przeciwko własnemu na-

Tajemnica Trójcy Świętej

II DAR DUCHA ŚW. — ROZUM.

Niektórych z nas niepokoją tajemnice wiary. Uważamy, że wszystko jest w porządku do tego miejsca, do którego sięga nasz rozum, albo do granicy w obrębie której namacalnie stwierdzić możemy istnienie takiej czy innej rzeczywistości. Poza tę granicę zaczyna się dla nas ciemność, wypełniona wątpliwościami. Poza tą granicą jest teren działania wiary, a ciemności, które tam panują, spowodowane są niedoskonałością tej wiary w nas.

Chętnie mówimy o Ewangelii, o etyce i filozofii chrześcijańskiej, ale wolimy nie poruszać takich problemów jak cud, dogmat, tajemnica. Coś się w nas buntuje i staje cęba przed tym, czego nie przełamaliśmy rozumem.

Dążymy do rozumienia. Jest to naturalny i dobry pęd w kierunku tego, co jasne i prawdziwe.

Ale czy do tego rozumienia dążymy zawsze właściwymi środkami? Tomasz — empiryk, chciał włożyć palce w bok Chrystusa, ażeby doświadczyć tajemnic zmartwychwstania; ale poniechał tego zamiaru ujrawszy Mistrza. Zrozumiał i uwierzył nie dotknawszy. Znanie jest opowiadanie o rozmyślającym Augustynie, któremu spotkane nad brzegiem morza dziecko, powiedziało, że prędzej przeleje morze do wykopanego w piasku dołka; niżeli on zrozumie tajemnicę Trójcy Świętej. Skoro więc nawet wysiłek rozumu nie może doprowadzić nas do rozumienia, co może przetrząść most nad przepaścią dzielącą nas od tajemnicy?

Niewątpliwie tym mostem jest wiara. Wiara silna, ta, która przenosi góry. Ale oprócz niej są dary Ducha Św., które uzupełniają i jakby sublimują wiarę: Dar Mądrości, który pozwala nam mieć właściwy sąd o sprawach Bożych i dar Rozumu, który jest światłem oświecającym umysł, tak, że pozwala nam rozumieć prawdy nadprzyrodzone. Rozumieć tak głęboko, że rozumienie to zmienia się w kontemplację.

Dar Rozumu nie jest tym samym co „ludzki rozum“, o którym potocznie mówimy, pomimo, że posługujemy się tym samym co on narzędziem, którym jest umysł człowieka.

Dar Rozumu wypływa wprost od Boga, i tych którzy go otrzymali nie niepokoją najgłębsze tajemnice.

Środkiem do osiągnięcia go jest życie życiem nadprzyrodzonym, to znaczy, robienie wszystkiego wspólnie z Bogiem. Wtedy mogą otworzyć się przed nami głębie, o których mówi Apostoł w liturgii dzisiejszej Mszy Św.:

„O głębokości bogactw i mądrości i wiedzy Bożej! Jak nieogarnione są sądy Jego i niedościgłe drogi Jego! Bo któż poznał umysł Pański, albo kto był doradcą Jego? Albo kto pierwszy Mu dał, żeby było mu oddanem? Albowiem z Niego i przezeń i w Nim jest wszystko. Jemu chwała na wieki!“

Katarzyna Woźniakowska

rodowi, gdyż, dążąc do likwidacji innych narodów, uniemożliwia budowanie swej własnej kultury. Źródła twórczości narodu samotnego, izolowanego od innych muszą wyschnąć. Im bardziej odrębna i swoista jest kultura narodu, tym niezbędniejsze staje się dla niego istnienie równorzędnych podobnych mu zespołów, rozwijających obok własną twórczość kulturalną i cywilizacyjną. One to dostarczają mu bodźców, dzięki nim może znaleźć kryteria oceny własnych osiągnięć i uchronić się przed jednostronnością i dysharmonią.

Sądzę, że nie trzeba szerzej dowodzić tej, dość dziś oczywistej tezy, że nacjonalizm, budząc imperializm narodowy, i dążenia autarkiczne, szkodzi dobru narodu, sprzeniewierza się i jest zaprzeczeniem czystej idei narodowej. Zjemy, w czasach, w których autarkia przestaje być niebezpiecznym błędem — staje się niepodobniestwem wobec komplikacji współczesnego świata. Współpraca międzynarodowa będąca dotychczas używanym przez dyplomatów frazesem, za którym kryła się chęć wyzysku lub unicestwienia kontrahenta, musi w przyszłym świecie stać się istotną potrzebą i objąć wszystkie dziedziny życia.

Świat, pokonując na swej drodze olbrzymie trudności, zmierza do takiego układu stosunków, w którym walki narodów nie na polach bitew będą się rozgrywać, a zwycięstwa jednych również i zwyciężonych będą wzbogacać. Niewspółmiernie odległa i nierealna wydaje się wizja takiego świata, wszelako powszechna niemal tęsknota ludzkości zdaje się ją zwiastować.

Być może wywoły te spotykają się z zarzutem utopijności i lekceważenia faktów natury politycznej, które w dziedzinie międzynarodowej nie usprawiedliwiają mego optymizmu, zaś na odcinku spraw polskich ukazują zwycięstwo sił, które dotychczas nie uwzględniały podstawowego znaczenia idei narodowej. Uprzedzając te zarzuty, chciałbym wyjaśnić, że w rozważaniach tych omawiam procesy nurtujące w umysłach i psychice społeczeństwa, a nie ujawnione w postaci faktów. Istotnie bilans ostatnich lat wydaje się dla idei narodowej ujemny. Głębiej jednak analizując ten bilans można scharakteryzować go pozornym paradoksem, że porażkę ponieśli nacjonalści, ci zwłaszcza, którzy ideę starali się wprzedać w służbę osobistych lub doraźno politycznych celów — natomiast idea narodowa odniosła sukcesy.

Zawsze niemal w Polsce idea narodu wa i zrozumienie roli narodu jako jedynej trwałej i twórczej więzi społecznej szerzyła się i wznagała w szczególnie trudnych dla narodu chwilach, gdy historia stawiała przed nim ciężkie zadania. W chwilach, gdy te ciężkie zadania muszą być podjęte przez cały naród, wartość solidarności klasowych jest przejściowa i niewystarczająca. Stwierdzili to nawet najgorętsi apostołowie walki klas, używający jej jako środka do osiągnięcia ideału sprawiedliwości w społeczeństwie bez klas, niestety również i bez narodowości. Jak ponurą była by przyszłość świata, gdyby dążenia te miały choć małą szansę powodzenia. Gdyby była do pomysłenia ludzkość stopiona w jednolitą bezkształtną i bezbarwną masę. Koncepcje te uległy i będą nadal ulegać zmianom. Proletariat niemal powszechnie, wbrew skrajnym postulatom swych międzynarodówek stanął na gruncie narodowym. Co więcej, w warstwie tej bodaj najsilniej tkwi instynktowna niechęć do obcych narodów. Nie tylko „w dołach” te nastroje dadzą się zaobserwować. Również przywódcy, gdy przypada im w udziale brać na swe barki odpowiedzialność za losy kraju, coraz to częściej odwołują się do uczuć solidarności narodowej.

Starłem się w pobieżnym zarysie tego rozległego tematu dać wyraz przekonaniu, że powszechnie szerzący się w XIX wieku, a w wieku XX doprowadzony do absurdu nacjonalizm biologiczny, będący pierwszą prymitywną fazą idei narodowej zostaje zastąpiony przez nową jej formę, którą nazwałbym historyczną. Wierzę również, że rola tej wyższej formy ideału narodowego będzie decydująca w kształtowaniu się stosunku jednostki do zbiorowości, oraz stanie się podstawą zgodniejszego współżycia narodów w wielkiej rodzinie ludzkości.

Andrzej Krasński

Jana Dobraczyński

Teatr na ostrym zakręcie

Otrzymałem od p. Stefana Otwinowskiego jego świeżo wydany drukiem dramat* z wielce zachęcającą dedykacją: „Z prośbą o sprawiedliwy sąd”. Tego rodzaju dedykacja zobowiązuje, bo choć piszący pojmuje, a przynajmniej powinien pojmować swoje pisanie zawsze jako tworzenie sprawiedliwego sądu, to przecież apel o ten sprawiedliwy sąd pobudza go jak ostroga. Czuje się jak człowiek przyparto do muru, który musi — czy chce, czy nie chce — powiedzieć w danej sprawie wszystko, co myśli.

Ale zanim problem „Wielkanoc” Otwinowskiego poruszę, na marginesie tej książki — zresztą na bardzo zasadniczym marginesie — muszę poruszyć sprawę inną, szerszą i zupełnie podstawową. „Wielkanoc” jest jednym z niezbyt zresztą licznych dramatów napisanych, bądź w czasie wojny, bądź już po wojnie. Dwie inne sztuki: Bienkowskiej i Ważyka mieliśmy możliwość przeczytania. Inne rzeczy, jak sztuki Korcella, Wirskiego, Peplowskiego, Dygata i Brezy, Flukowskiego, Zawieyskiego i innych widzieliśmy na scenie. Jest faktem, że arcydzieła nie ujrzelśmy, ani nie przeczytaliśmy. Gorzej — bo spotkaliśmy się z małą liczbą sztuk, o wiele za małą w zestawieniu z wielką tradycją teatralną w Polsce, o wiele także za małą w zestawieniu z wielkimi teatralnymi projektami, które rodzi departament teatrów p. Rusinka i słynna komisja repertuarowa p. Padwa.

Teatr w Polsce nie może spać, tak zresztą jak nie może spać w Polsce proza artystyczna. Poezja mogłaby się trochę przespaciać, aby niepokojąca liczba wierszem piszących pań i panów nabrała przekonania, że można pisać i prozą, a właściwie i lepiej jest w ogóle inaczej

* Stefan Otwinowski „Wielkanoc”, dramat, wyd. Wojew. Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie, nr. 7, Kraków, 1946, str. 91.

Za spokój duszy

Ś. † P.

STANISŁAWA PIASECKIEGO

redaktora „Prosto z mostu” i „Walki”, rozstrzelanego 12 czerwca 1941 r. na Palmirach, odbędzie się dnia 17 czerwca b. r. msza żałobna w Warszawie w kaplicy przy ul. Belwederskiej 20 o godz. 8.

REDAKCJA „DZIS I JUTRO”

20 maja w jednym z grobów na Palmirach odnalezione zostały zwłoki Stanisława Piaseckiego, założyciela i redaktora przedwojennego tygodnika „Prosto z mostu”, założyciela i pierwszego redaktora konspiracyjnej „Walki”.

Wiedzieliśmy, że Piasecki zginął. Ujęty in flagranti wydawania podziemnego pisma nie tylko, że musiał zginąć, ale musiał także przeżyć wyrafinowanie potworne badania, których celem miało być odkrycie współpracowników. Nie wydał nikogo. Ten niepozorny, mały Człowiek był nie tylko najtęższym publicystą przed wojennej Polski, ale był także nieugiętym, nie znającym kompromisu w walce, bojownikiem o wolność. Kilkakrotnie badany, kilkakrotnie torturowany otrzymał wreszcie swój krzyż — wyrok śmierci. Najformalniejszy z formalnych. Potem płynęły dni oczekiwani na egzekucję, ciężkie i bolesne, a przecież głęboko przeżywane i nie zmarnowane. Wielki przewrót w duszy, ten przewrót, który się dokonywał już wcześniej, od lat, ogarnął wtedy całego pisarza. Teraz już nie tylko wiedział o tym, co poznał i zgłębił w latach przedwojennych, co wyczytał z tak żarliwie poszukiwanych książek religijnych, co dowiedział się w rozmowach i dyskusjach. Teraz czuł, całym sobą, że stoi w obliczu Prawdy. I dlatego mógł w jednym z ostatnich „grypsów” napisać do przyjaciela: „Jestem spokojny... Niech się wola Boska wypełni...”.

Tego chciał zresztą zawsze, choć może nie zawsze wiedział, jak ma jej wypełnienie przyspieszyć. Popełniał błędy, jak każdy z nas, i dawał się ponieść swej bujnej, bajecznie bogatej naturze artysty, krytyka, człowieka pióra. Założył swoje

swoje uczucia „wylewać”. Teatr jednak spać nie może. Noblesse oblige. Stworzyliśmy teatr na wielkim poziomie. Wielki teatr. Mickiewicz, Słowacki, Krasński, Fredro, Korzeniowski, Wyspiański, Bałucki, Rostworowski, Żeromski, Nowaczyński, Miłaszewski — wymieniam tych tylko, którzy mi na pamięć przychodzą. Teatr w Polsce był najistotniejszą może formą artystyczną wypowiedzianą się uczuć narodowych. W żadnej innej twórczości nie spotykamy tych tak daleko sięgających w przyszłość akcentów, jak właśnie w twórczości dramatycznej. Rewelacją sprawy chłopskiej stała się „Niespodzianka” K. H. Rostworowskiego, pierwszym moonym wypowiedzeniem naszych praw do morza był „Fryderyk Wielki” Nowaczyńskiego. „Wesele” — to obraz marazmu, który się ujawni w całej swej grozie po dwudziestu kilku latach. Przykłady można by zresztą mnożyć. Życie teatru w Polsce było ściśle i mocno związane z losami narodu. To prawda, nie stworzyliśmy teatru popularnego dla mas. Nasz teatr jest teatrem elity intelektualnej, ale to jest jego właściwością, że nie rezygnując nigdy ze swego poziomu, teatr w Polsce był elementem podciągającym masę i zmuszającym ją do słuchania wielkiego słowa. Może nigdy to nie nabrało równie jaskrawego wyrazu, jak ostatnio w czasie wystawiania „Lilli Wenedy” w teatrze Polskim.

Teatr w Polsce ma wielkie zadanie przed sobą. Aby to zadanie spełnić, powołana została ostatnio do życia (6 kwietnia) Rada Teatralna przy Ministerstwie Kultury i Sztuki. Inicjatywa zdrowa i warta uznania. Zgodnie z zarządzeniem Ministra Rada składa się: z 15 członków honorowych, wyznaczonych przez Ministra (Adwentowicz, Borowy, Brydziński, Cwiklińska, Dąbrowska, Frycz, Grzymała Siedlecki, Morstin, Kulikowski, Siemaszko, Solska, Solski, Szaniawski, Staff, Trzcziński) 5 dyrektorów (Dąbrowski,

Rusinek, Schiller, Szyfman, Zelwerowicz) 12 członków wybranych przez rozmaite organizacje, niestety na ogół mały mający związek z teatrem (a więc Darniecki i Kreczmar przedstawiciele ZASP, Korcelli — przedst. Zw. Zaw. Liter. Pol. — dla czego tylko jeden przedstawiciel i to nikomu nieznanemu p. Korcelli? — Jastrzębiec-Rudnicki z ZAIKS, Wroński z CKZZ Król i Kubicki z Zw. Sam. Chłop., Ingłot i Laskowska z „Wici”, Wieczorkiewicz i Żeromski z TUR, wreszcie Baczynski z RTPD — co to jest?), wreszcie 15 członków, nie wiem już przez kogo wybranych (Borejsza, Daszewski, Ford, Gałł, Horzyca, Iwaszkiewicz, Korzeniowski, Latośzewski, Miller, Osterwa, Palester, Pronaszko, Syrkus, Wierciński, Żółkiewski).

Dobór tej ostatniej grupy budzi szereg zastrzeżeń. Jaki jest np. powód wyboru do Rady Teatralnej prezesa „Czytelnika” p. mjr. Borejszy, czy redaktora „Kuznicy” p. Żółkiewskiego — nie wiemy i co gorsza takiego powodu w żaden sposób zobaczyć nie możemy. P. Ford jest może „specem” w sprawach kino — ale — już — nie — fikcyjnych, natomiast nie wiemy o jego zainteresowaniach teatralnych. Jeżeli osoba p. Forda miała być zapowiedzią wprowadzenia do Rady zagadnień filmu, trzeba by się temu pomysłowi kategorycznie sprzeciwić. Teatr to nie kino, a kino to nie teatr. Thumaczyć tego chyba nie potrzeba. Nazwiska Latośzewskiego i Syrkusa mało się tłumaczą. Brak jest ludzi mających coś naprawdę do powiedzenia w sprawach teatru, a więc przede wszystkim autorów teatralnych. Powinni tu być powołani Kiedrzyński, Krzywoszewski, Nałkowska, najtęższy u nas, poza Iwaszkiewiczem, dramaturg Zawieyski, dalej Flukowski, Zagórski, no i recenzenci Kudziński, Kawecki, Otwinowski, Żuławski. Ostatecznie jeśli to ma być Rada Teatru, muszą być w niej ci, co będą radzili, a nie ci, co będą się wymawiali od udziału w zebraniach innymi zajęciami.

Przy sposobności dowiedzenia się o powstaniu Rady dowiedzieliśmy się także o katastrofalnym pokłosiu pracy komisji repertuarowej. Jak się okazało na 247 sztuk, które zostały w kończącym się sezonie złożone komisji do oceny, tylko 50 zostało zakwalifikowanych do wystawienia na scenie, przy tym, jak żałośnie wyznała Komisja, i ta pięćdziesiątka nie stanowi jeszcze żadnej „klasy”, bo z niej 35 sztuk zostało zakwalifikowanych z różnymi zastrzeżeniami, 10 zakwalifikowano, ale nie polecono, może 5 (słownie pięć!) nadaje się naprawdę na scenę..

Obraz niewesoły! Rozumiemy sens i palącą potrzebę powołania do życia Rady Teatru, a więc instytucji która by radziła nad tym, jak wskrzesić wielki teatr w Polsce. Bo trzeba sobie powiedzieć szczerze, że wielki teatr dnia wczorajszego nie zastąpi teatru jutra. „Lilla Weneda” może będzie robiła kasę, ale jej popioły nowego teatru nie zapłodnią. Naturalnie w Polsce musi istnieć teatr klasyczny, z wielkim żelaznym, czy stalowym repertuarem. Nie wolno także zapominać o papie Szekspirze czy Moliere! Ale równocześnie musi wyrastać pokolenie nowych dramaturgów i pokolenie to musi być wprowadzane na scenę, bo tylko w poznaniu własnych błędów w zainscenizowanej sztuce, może się dramaturg nauczyć teatralnego rzemiosła. Stąd teatr musi dzielić swą scenę między tych, którzy są już panteonem i glorią, i klasą, i kasą, a tych, co to ni z soli ni z roli ale przecież coś zapowiadający sztukę skleciłi. Marzę Osterwa: trzeba umieć rozróżniać między autorem i autorem!

Ale ten wynik komisji repertuarowej... Paskudna sprawa! Pięć sztuk na sezon, to jednak trochę mało. Zwłaszcza, że jest to pięć sztuk za całe 7 lat okupacji. J. N. Miller, jak o tym usłyszał, to z rozpaczą zaproponował, aby komisja repertuarowa wyznaczała tematy autorom. Wynika z tego projektu, że np. od dziś do września piszą wszyscy dramaturzy o elektryfikacji.

Zart na bok. Z nowym dramaturgiem w Polsce jest źle. Ale jeżeli jest źle, to przede wszystkim dlatego, że dramat w Polsce jest przeladowany problematyką, że aż pod tą problematyką nie widać ani człowieka, ani dramatu. Nie ma racji p. Miller wzywając komisję re-

Requiem aeternem dona eis, Domine..

J. D.

pertuarową by „zadawała“ autorom tematy. Rzeczywistość dnia musi sama przemówić do artysty. Osobiście wierzę, że przemówi. Naturalnie nie od razu. Artysta nie można wyznaczyć tematu, ale artystę można do tematu porwać. Jak? Pokazaniem mu rzeczywistości w całym jej ogromie. Weźmy artystę i zawieźmy go na zachód. Pokażmy mu pole, które musi być obsiane — aby znowu jakiś pan na dalekim zachodzie nie twierdził, że to pole potrzebne jest dla odkarmienia Niemców — pokażmy mu fabrykę, która musi ruszyć, pokażmy mu most, który musi być postawiony, pokażmy mu gruz, który musi być z takim właśnie rozmacchem i fantazją, jak to robią warszawscy studenci, wywieziony, pokażmy mu kopalnię węgla czy soli, zapalmy go myślą, że trzeba wygrać wyścig z czasem o transport — a wtedy napisze dramat lub komedię. Bez tego będzie uciekł od aktualnej rzeczywistości lub będzie jej schlebiał w sposób naiwnie głupkowaty. Wtedy znowu ronić się będą sztuczdyła, jakich nie brakło, o „nim“, o „dziadku“, o „wodzu“ o „komendancie“, o „jedzie, jedzie na kasztance“ i o kasztance też!

P. Wirski napisał sztukę o reformie rolnej, która choć u p. nacz. Padwa nie padła, ale za to na scenie padła i dobrze, że padła, bo strasznie by wyglądała ta reforma, gdyby ją przeprowadzali postrzeleńcy w stylu potomka generała z portretu. Zdecydowanie jestem przeciwny wyznaczaniu tematów.

(A tu ciągle o sztuce Otwinowskiego ani słowa. Bardzo mi przykro, ale zaraz będzie).

W tej chwili nasz teatr żyje albo daleką przeszłością (Hiob, Masław, św. Stanisław) albo bliską przeszłością. Nie uważam tego za ucieczkę od rzeczywistości. Pisarz musi rzucić z siebie brzemie przeżyć wojennych, bo takich przeżyć nie miał i mieć nie będzie. Przeszłością można jednak zawsze dotykać teraźniejszości. Problem człowieka nawet w czasach rewolucji jest zawsze starym, tym samym problemem moralnym istoty słabej i wiotkiej („réseau pensant“) potrzebującej oparcia w absolicie. Nie ma innego dramatu w świecie, jak dramat religijny, bo i problem elektryfikacji i sprawa reformy rolnej czy wreszcie problem kolonizacji (caeterum censeo... ziemie zachodnie muszą być skolonizowane!) jest problemem działania w promieniu Łaski lub poza tym promieniem. To jest ta zasadnicza różnica pomiędzy dramatem a pseudodramatem. Dopiero na dnie przeżycia moralnego odnajdujemy człowieka. A to, co on tworzy bez oparcia o swe dogłębne przeżycie, jest tylko ślizganiem się po powierzchni.

Trzeba stworzyć dramat w pojęciu najszerszym tego słowa. Trzeba pokazać na scenie żywego człowieka i prawdziwe przeżycie ludzkie. Zgoda, że bezsens jest hasło „sztuka dla sztuki“. Dramat musi wyrastać z życia i przelatywać rzeczywistość w pewnym syntetycznym, ale najzupełniej realnym skrócie. Lata całe buntowałem się przeciwko usuwaniu ideologii i problematyki z utworów artystycznych. Dowodziłem, że zwłaszcza idea i jak i problem są w życiu czymś najzupełniej realnym, a właśnie nierealne jest życie, które nie wprowadza żadnego ideału i nie rozwiązuje żadnego problemu. Naturalnie sztuka jest zawsze stylizacją życia, ale chodzi o to, aby styl twórca, odcisnięty na utworze, nie zagłuszył prawdy. Mniejsza będzie zresztą, gdy chodzi tylko o styl. Poetycki styl dramatów, dajmy na to, Claudela, rzeczywiście zagłusza rzeczywistość. Ale jest to tej miary poetycki styl, że nawet włożony w usta nierealnych postaci nie pozbawia życia teatru. Dochodzi tu do głosu inna forma sztuki, dla której inscenizacja teatralna jest mało istotnym dodatkiem. Poeta czy epik w teatrze, teatru nie niszczy choć go często zniekształca. Tragedią — niestety, nie na miarę grecką — jest gdy na scenę wychodzi nie artysta i publicysta, reportażysta, ?

Bardzo słusznie powiada we wstępie swej sztuki Otwinowski:

„Historia jest „fotogenicznym“ tematem dla scenicznego twórcy. Antyczne, zwłaszcza grecka, tematyka, a raczej dyskusja z nią, zaciążyła na komedii współczesnej.. Teatr z akcji przeszedł właściwie na dialog. Uwieńczył go największymi osiągnięciami Shaw. Ale Shaw jest raczej politykiem...“

Racja. Racja także, że „i polska historia ma „fotogeniczną“ tematykę. Przejścia lat wojny tę tematykę niewątpliwie wzbogaciły i to do tego stopnia, że dziś, jak już wspominałem, autorowi trudno jest wyrwać się z kręgu tych przeżyć. Chodzi tu jednak o to, aby to były naprawdę przeżycia a nie dyskusja nad tematem. Dyskusją i tylko dyskusją jest „Papuga“. Już znacznie dalej idącą próbą wyjścia poza dyskusję jest skąd inąd nieudany „Portret generała“. Natomiast „Droga do świtu“ Peplowskiego, przy niezliczonych swych słabościach, przy naiwnostkach, nawet przy pewnej melodramatyczności — wbrew ostrej krytyce, która tę sztukę spotkała — jest właśnie na dobrej drodze. Jeśli wypowiada problem i ideę, to wypowiada ją poprzez żyjących ludzi. Dlatego każdy jej akt kończą frenetyczne oklaski (choć to jest słabutkie teatralne przedstawienie dawane w bardzo nieakustycznej na głos ze sceny sali, natomiast niebawale akustycznej na śpiewy w pobliskim kościele i na „krzyżane“ zabawy mieszczańskie za ścianą drużyny harcerskiej). Natomiast

Wanda Bacewiczówna

Droga do świtu

Bohdan Peplowski „Droga do świtu“, sztuka w 3 aktach „Comedia“.

Sztuka Peplowskiego mimo swych niezaprzeczonych błędów i niedociągnięć, powinna się była na naszej scenie ukazać.

Spółcześnie nasze od dwóch już prawie lat dysputuje gorąco i zajadle na temat celowości powstania warszawskiego, ale przecież nikt nie zaprzeczy, że walki powstańcze polskiego żołnierza były nad wyraz bohaterskie i należy im się pamięć czuć. W walkach tych brało udział całe, połączone wspólnym celem społeczeństwo, nie wyłączając dzieci. Tym to właśnie dzieciom, dzieciom ulicy warszawskiej autor poświęca swą sztukę. Kto nie brał udziału w powstaniu, kto nie widział dzieci w akcji, a przed tym w konspiracji, nie może oczywiście ocenić należyście istoty ich szalenczej ofiary. Nic też dziwnego, że w Krakowie sztuka Peplowskiego, wystawa

oklaski na świetnie wystawionej „Papuzie“ są po prostu wyduszone.

Niestety, sztuka Otwinowskiego nie potrafi nawet zainteresować na tyle ile zaciekawia „Papuga“. Właściwie jedynie ciekawy jest prolog — rzuć oka na żydowski świątek w małym miasteczku przed wojną, choć i tutaj nie jest przeżyte a wszystko przegadane, to jednak ten prolog jako wprowadzenie w dramat miał by może swój wdzięk. Coś zdaje się bowiem zapowiadać. Tego czego jednak nie znajdujemy. Dalsze trzy akty to dialektyka: omawianie sprawy żydowskiej na kilka głosów. Na scenie są typy a nie ludzie. Prowadzą one dialog, przy tym jedni mówią tylko: „biało, biało“, a drudzy: „czarno, czarno“. Stanowczo — to nie jest teatr. Nawet sama fabuła — ta, która się dzieje na scenie, a nie ta, o której się opowiada — jest nieskończenie blaha i uboga.

Pozostaje problem. Sądzę, że jego omówienie trzeba odłożyć do następnego razu; nie można bowiem o nim napisać mało; trzeba go wreszcie spróbować postawić.

wiona zresztą podług mylnej koncepcji reżyserskiej, przyjęta została nieprzychylnie. Nie potrafiono podejść do niej prosto i szczerze, zbyt wiele zadano od autora, którego cel jest zupełnie skromny i naturalny, dyskwalifikując sztukę z powodu jej „klimatu“ rzekomej „ślepej apologii“. Jeżeli afirmacja bohaterstwa powstańczego objęła mimowoli i jakichś dowódców powstania, nie jest to jeszcze powód do rozzwierzenia szat, gdyż i pośród dowódców znajdowali się przecież ludzie uczeni i bohaterzy. Okazywana przez krytykę krakowską niechęć do sztuk warszawskich wykazuje jedynie odwieczny antagonizm między prowincją, a wspaniałą mimo wszystko, stolicą.

Przyznając obiektywnie brak pełnego wyrazu artystycznego w sztuce Peplowskiego, nie można jej odmówić waleńców. Przede wszystkim sztuka — pomijając dający się przy lepszej reżyserii usunąć patos — jest prawdziwa. Nie ma w niej

Jerzy Zagórski

STRUP

Od pewnego czasu Strup zachowywał się przy stole coraz okropniej. Najprzód drapał się bez przerwy w głowę. Potem wyłowił ziarenko lupieżu, położył je na lewej dłoni i zdmuchnął. Po chwili zaczął dłużyć w uchu widelcem, co wcale nie było łatwe. Gdy i to mu nie pomagało, wyjął sztuczną szczękę i ostentacyjnie wyliżał ją na oczach wszystkich. Tak już bywał pod nieobecność gości.

Milczenie rosko, jak woda nieprzenikniona i tragiczna.

Strup zaczął płakać wewnętrznym, dla nikogo niedostępnym szlochem. Nie mógł z tego powstać żadna muzyka, gdyż nikt nie miał daru zapamiętywania melodii nieistniejących.

Cisza rosła, jak skrzydło niewidzialnego motyla.

Strup włożył z powrotem starannie oblaną sztuczną szczękę do ust i przemówił. Była to jedna z owych mów adwokałskich, które nie służą do żadnego wyjaśnienia rzeczy, ale mają zdolność zablokowania wszystkiego, co by chciało ową mowę przerwać. Słowa osaczały wszelką możliwą sprzeciwu, Odcinały drogi ucieczki. Duszył jak strzyżek.

W tym momencie pierwsze z dzieci, biorących udział w uczcie, przestało istnieć. Straciło całe swe znaczenie. Zostało bowiem unicestwione przez mowę adwokacką Strupa.

Strup milczał. Teraz zaczął cykać zębami, jak lokomotywa, gdyby zamiast tłoków z porażonego metalu, miała tłoki z kiepskiej porcelany. Ale i to cykanie za chwilę przerwał i zatrzymawszy oddech zakorkował sobie usta i nos rękami dość hermetycznie, poczym zaczął się nadymać i pumpurowieć. Sine żyły wystąpiły mu na czole skroniach i szyi. Zrobił się cały purpurowy i tak trwał.

Drugie dziecko, biorące udział w uczcie, odrzucono przez łufcik.

Czego Strup jeszcze nie wymyślił? Zaczął szcuzć. Dwoje ostatnich dzieci patrzyło na siebie martwo, a on zaczął je naszczuwać na siebie, jak zawzięte foksteriery na kota. Dzieci pozabijały się nożami. Matka ich patrzyła martwym wzrokiem na kałużę krwi, które wylały się z maleństw i na coraz bardziej okrutne postępowanie jej męża. Bo teraz Strup z szafy próbował skakać do tych kałuż krwi, jak skaczą do rzeki nadzy parobcy, zadzierając w górę nogi i ręce: plask, plask grotem siedzenia w rozpryskującą się ciecz.

Na ścianie tymczasem zastygło bez ruchu dwu wisielców: jeden był aniołem przerysowanym z Melozzo da Forli, w prawej ręce trzymał pałeczkę, którą ostrożnie przyłożył do skóry na bębnie, tak ostrożnie, żeby instrument nie wydał dźwięku, tak ostrożnie, żeby wszelki dźwięk przytłumił. Pod aureolą z białych paciorków na tle nieba z błękitnego mydła postać wznosiła oczy ku górze i widać było białka, jak u poety Wiesława Strzałkowskiego, kiedy oczy wznosi ku niebu.

Drugi wisielec nie pragnął widać takiej ilości nieba i w taką niewytwornym gatunku. Patrzył raczej ku ziemi, a właściwie na jej granicę z niebem, przebiegającą na wysokości ludzkich oczu. Tło, na którym był zreprodukowany, zajmowała w jednej trzeciej brązowa kotara, w jednej trzeciej błękitne mydło, a w jednej trzeciej takie same paciorki, jakich aureola otaczała włosy i tamtego, w kolorze podobne i do jego włosów. Ten modro-popielato-szary, o grubawej szyi i lekko wydętych wargach obwieś przypominał poetę Czesława Miłozza, gdy dotykając palcami do strum swego instrumentu udaje, że gra, choć wcale jeszcze nie wisi na ścianie zreprodukowany z malowideł mistrzów.

Strup tymczasem, niepomni na wisielców i na to, że świat może być inny, żył własnym życiem, wypełniał pokój swymi czynami, które polegały głównie na coraz nowych zabójstwach, nie tylko duchowych, ale i fizycznych.

Wszystko działo się na dnie moździerza, w którym biegła kucharka tłukła migdały na płacek, migdały niebieskie jak mydło. Reklama konkurentów jest najlepszą drogą do oszukiwania Opieki Spotecznej, tudzież siebie.

Jerzy Zagórski

Otwinowski za swoją sztukę dostał nagrodę. Bardzo to dobrze, że pisarze o-trzymują obecnie jakieś nagrody, to też niezależnie od osobistego poglądu na sztukę, znajduję fakt wypłacenia grubszej forsy literatury za rzeczywistość ze wszech miar krzepiącą. Oby tak więcej!

A a propos tych pięciu sztuk zakwalifikowanych i pochwalonych przez komisję repertuarową, to zdaje się żadna z nich nie została ani wystawiona ani wydrukowana. I w ogóle z tych pięćdziesięciu zakwalifikowanych, to tylko kilka było wystawionych. P. Padwa mówi, że „dyrektorzy teatrów hołdują nikiedy gustom najgorszej publiczności“, pp. dyrektorzy wcale się nie tłumaczą, natomiast tłumaczą ile się da — na polski. „Mogliśmy zaśpiewać z rejdowskim wójttem: „ksiądz wini pana, a pan księdza, nam zaś z tego wszystko nędza...“. Tak, tak. Nędza nędzą, a w Krakowie np. leży komedia J. Zagórskiego „Winkelryd“, która mogła by być nie lada sensacją. Ale cóż! Trzeba by ją wystawić..

Jan Dobraczyński

przynajmniej fałszywego ideologizmu, o-partego na prostackim prymitywizmie, zawartego w innej naszej, wystawionej obecnie sztuce „Papuga“. Choć „Droga do świtu“ nie należy niestety do rządu sztuk na odpowiednim poziomie artystycznym, jest ona bezwzględnie sympatyczną próbą ukazania tego, co — abstrahując od jakichkolwiek zagadnień politycznych — było piękne w narodzie zespolonym choć raz w jeden, zgodnie walczący o umiarkowaną wolność i pokój organizm. Poprzez tą wspólną ofiarę autor pragnie poprowadzić swój naród ku dalekiemu świtowi, który zabyłszy nad światem wolny od nienawiści i przemocy.

Jak to słusznie zaznaczono w ocenie sztuki zamieszczonej w programie, brak należytego dystansu dzielącego nas od dni walki nie pozwala naszym pisarzom na prawdziwe uartystyczne ujęcie tego, cośmy przeżyli i co wciąż tkwi w nas niezagóję. Dlatego też niesłuszna byłaby zbyt surowa krytyka sztuki Peplowskiego. Wycinek z życia okupacyjnego i pracy konspiracyjnej, w której biorą udział mali ulicznicy (sprzedawcy gazet, śpiewacy podwórkwowi), kończący się powstaniem, jest dość trafnie i żywo przez autora podany. Koniecznego jednak stuszwania wymaga patos zawarty w niektórych tyradach bohaterów. Wskazane byłoby również pewne przeróbki w tekście, gdyż sztucznie brzmią zbyt filozofujące zdania w ustach małych chłopców. Jeżeli chodzi o patos, dałoby go się usunąć za pomocą rzetelniejszej reżyserki, a także lepszej gry aktorów zawodowych. Mówię „zawodowych“, gdyż autentyczne dzieci warszawskiej ulicy, którym powierzono rolę (pomysł z uwagi na prawdziwość postaci szczęśliwy i dobrze przeprowadzony), wywiązali się ze swego zadania niejednokrotnie lepiej niż wytrawni aktorzy. Zabawne to, ale w zestawieniu ze świeżą i prawie zawsze naturalną, choć może prymitywną grą dzieci warszawskich, słabo np. wypadła nieozdobiona sztucznością gra Zygmunta Bończy-Tomaszewskiego i Jerzego Tatarkiewicza (kapitan). Z „prawdziwych“ artystów doskonale tylko odegrała swą rolę Wanda Szczepańska (Ciocia Bujakowa opiekująca się dziećmi) i Wacław Izdebski (pan z Wareckiej w świetnej scenie epizodycznej). Z winy reżysera (Zygm. Bończy-Tomaszewski) niezupełnie naturalnie wypadła scena zbiorowa w akcie pierwszym. Nie wyszkało też w dostatecznej mierze chwili napięcia przy końcu aktu II-go przez zbyt szybkie padanie strażów (za szafa). Tu kierując małą uwagę pod adresem autora, który obdarzył nieprawdopodobną odwagą Niemca-volks-deutscha. Któryż to z Niemców byłby się odważył na pójście bez towarzyszy do tajemniczej kryjówki, z której dochodzą podejrzane odgłosy? Dość nieprawdopodobne jest również ukazanie powstańców w całkowitym ekwipunku (mundur, hełm) i to w pierwszej godzinie powstania. Scena końcowa aktu II-go, w której na scenę wpada w krytycznym momencie powstaniec przybrany barwami narodowymi, w ogóle bardzo słaba. Zbyt melodramatycznie wypadła również scena z rozpaczającą dziewczyną w akcie III-im. Za to doskonale oddano typy z ulicy Starego Miasta. Dekoracje Kopyzińskiego bardzo udane — zwłaszcza w akcie I-szym i II-gim pełne wymowy. Natomiast w akcie III-im brak perspektywy. Efekty głosowe walki nieudolne, a więc nieosiągające zamierzonego wrażenia, oczywiście z winy trudności technicznych.

Chłopcy grający w sztuce są mili i pełni wdzięku, a do tego bardzo „grzeczni“. Oto słowa jednego z nich: „Bij kiedy trzeba, ale pamiętaj, że to mus, a nie frajda“. Jeden z nich, jako przybłąkany ze wsi, mówi gwara chłopką i reprezentuje udział w powstaniu chłopca polskiego.

Sztuka Peplowskiego powinna mieć swój specjalny oddźwięk właśnie w teatrze peryferyjnym, w którym jest wystawiona (Comedia) ze względu na to, że uczęszcza do niego dużo prawdziwych dzieci ulicy warszawskiej.

Lesław M. Bartelski

Spotkanie 12 maja 1945 r.

U stóp moich miasto jak obłok
ciemne i spadłe w słońce jak srebrny liść —
zielen parku w żyłach jak ogień:
jak młodością pierwszy do Ciebie pisany list.

W głębi ulicy ślepy grajek
melodę ciosa strun kamiennych,
miasto wiosną paruje i zakwita majem
— i uśmiechem Twoim wiosennym.

Miłości uczył nas twardy pocisk,
który nam ogniem przesłonił wszystko:
mnie — Twoje szare i drogie oczy,
i matkę cichą jak przystań.

Poza mną powrót. Niknie noc
na ostrzu gwiazd zwisając stromo,
kiedy Ci mówię jasno — wprost:
wiesz — nie mam domu,

Ty będziesz domem moim i spoczynkiem,
w Tobie odnajdę dni sens trudny.
Stąd, od parku, róg Wilczej i Alei właz kanału,
z którego kiedyś wyszliśmy zmęczeni i brudni,

dławiąca cisza śmierci wtedy —
a dziś słoneczne znów południe
rwie piosenką maszerujących żołnierzy,
słońcem zakrzepłe na kamiennej studni.

Melodia grajka — prosta, nazbyt znana,
zapach czeremchy młody i łagodny:
to nic, że ogień przeszedł przez nas
i męczył — Ciebie spotkałem dziś napowrót.

Prośba o zapomnienie

Nie znam liłości nawet dla siebie.
Droga z wierzb ukreślona i pełna błota,
nad polem wkleśłym słońce jak grzebień,
przez pole kładka, a pod nią potok,
daleko mi do Ciebie.

Krajobraz się urywa nagle,
jak prosta szopka, poza którą
nie widać nic; może to ściany?
lub ogniem wypalone mury?

Jak kołysanką rosna dzieje,
łamię się choim ostrzy kształt:
góry i lasy tchną zawieją,
a ponad lasem czarny sygnał.

Z dwóch dolin, które miałem w oczach,
rozlały się dwa morza: martwe i nadziei
niebo z chmur odarte prószy śniegiem,
stygnie zachodu pożar,
obcy mówią o zapomnieniu.

Ale ja wiem, że jesteś.

Z ognia i zieleni

ALINIE K.

Wiersze wyjęte z przygotowanego do druku tomu p. t.
„Patrol między murami“

W czasie trwożnym

Cieśle, granatowo przystrojeni w powietrza błękitne ślup:
dach łamali w krokwie, znak zielony wieszając.
Jesteś we mnie od oczu do stóp,
uśmiechem rozpięta na sercu.
Patrz: luną pali się wschód i obłoki wstają.

Każde źdźbło trawy zna Twe imię na pamięć,
— nim szemrze strumyk w swym łożysku.
Olśniony czekam. Dzień mi się w zrenicach łamie
i spływa linią Twego ciała, które co noc śnię.
Widzę: — nadchodzisz i jesteś mnie blisko.

Oto wyprowadzona w ciemność jesteś jak płomień:
dom mój w zgłiszczach zgorzał, pękły krokwie z bursztynu,
gdy walczyłem — spojrzenie Twoich oczu dotarło do mnie
jak wsparcie, aby mnie wywieźć z umarłych żywym,
abym mógł świadczyć krew i ogień. I abym nie przeminął.

Tobie jednej

(list)

Tobie jednej choć utkać z marzeń
wiersz łagodny i wiotki, jak tęczy łuk —
migocą w paprociach skrzydła wilgotnych wałek,
— idę życiem z Twoim imieniem u ust.

Jaką pocztą list płomienny wysłać? —
gołębica siwa w srebrny nieba strumień
wzniesie. A gdy Twe wargi rozdzwonią, jak kryształ
moim imieniem — to wtędy zrozumiesz.

Łatwiej jednak w dłoń zamknąć i zacisnąć szczelnie
dźwięki ciche, jakby powielane fletem —
księżyc parzy miodową pieśnią nocy weselnej:
jak górski potok świeże są słowa poety.

Ten wiersz — jak lesna przestrzeń nieodgadła,
przecież w nim nawet sensu nie ma?
tylko Twe oczy szare, jak zwierciadła
stawów — myślom moim budują poemat.

O przyjdź w śnie jak dotyk lekkim
i ugaś rozpalone czoło ufającą dłonią,
myśl o Tobie jak wezbrany potok i błękit,
myśl o Tobie — trud wznoszenia własnego domu.

Z dłoni czterech i serc dwu rozepniemy namiot,
świat w nim skryjemy — gwiazdy i księżyc.
Czemu przeczysz? — siła naszych ramion
i ból i życie i śmierć przewyżczy.

PRZESŁANIE:

Odpisz — czy list dostała, czy tylko
wiersz kruchy jak szkło.
Jednym schronieniem jest nasza pierś:
serca zwalczającego zło.

Kieleccyzna, grudzień 1945.

Inny ogień

Wróżb daremnych nie szukaj
w wezbranych stropach nieba,
gdy czas do okien trwoga stuknął
miłości brakło nam — nie chleba.

Bo czas nagły serca nam wypłomienił,
do walki posłał, poddał próbom,
i tragicznemu pokoleniu
dał przeżyć sierpniem lato długie

nie ogarnie go skrzydłem burza,
gdy się piekiel odstania dno,
teraz: gołębie podejmują lot,
lotki przeciw prądom powietrza trą

Pałę się. Płonę jak pochodnia,
dotykam Ciebie i nie poznaję wcale,
i w naszych oczach spływa co dnia
sierpniowy wieczór o łunie korału.

W imieniu Twym, gdy mówię, — miękkość,
wiem: Kocham Cię. I przetopi w całość
nas ta walka i znuży jak męka.
Bo walczyć, a nie kochać? To mało!

Nie byłaś sensem tej walki,
a tylko cichą przystanią,
mówię: nurt dziejów zmienny i wartki
pieszczoty tylko nie kłamia

dziś nasze, a dziś — to wiem,
że jesteś. Najprościej Ci odpowiem:
jesteś mną, jestem Tobą, jesteśmy snem,
zrodzeni z ognia — pójdziemy w ogień.

Droga

„Przeżyłem innych i samego siebie...“

Czesław Miłosz

Jak Cię nazwę w milczeniu,
której dłoni szukam,
by mi życia inny
ukazała bieg?

Niebo ściga mnie wciąż,
rozprysłe w niebieskich łukach,
pogasy znaki Zodiaku,
gwiazd rozsypał się szept.

Poniżej czarna ziemia,
którą ludzie brodzą, po kolana
mając morze, płomienie i strach.
Zywioty jak pociski —

Przeżyłem innych i samego siebie,
a pamięć moja jak zwietrzała piana
unosi kształty tamtych lat;
imiona istot naprawdę mi bliskich.

Czy walczyć dalej? — powiedz,
której szukam dłoni,
by nie na piaskach, ale życiu
twardy nakreśliła marsz?

Czy pełne szczęście w cyprysowym słowie,
które od klęsk i zapomnienia chroni?
Idziemy milcząc — posagi z marmuru
po których fałdą spływa wiatr.

Kronika kulturalno-naukowa

Mimo dużych zmian godnych do zanotowania w sensie pozytywnym na rynku księgarskim, które zaszły od ubiegłego roku w zakresie książki poważnej — sprawa książki naukowej nie została dotąd rozwiązana pomyślnie. Ukazuje się nie jedna praca o charakterze naukowym, względnie popularno-naukowym, lecz obliczona ona jest na szybki zbył i popularność przez czytelnika polskiego. Natomiast prace poważne, prace gruntowne, klasyczne prace naukowe, czekają w wielu wypadkach na wydawcę, który nie prędko podejmie się wydawać coś poważniejszego, o ile z góry nie będzie wiadziało, że temat „chwyci“ czytelnika. Pozostaje więc tylko wydawca o charakterze społecznym, wydawca tego typu, co towarzysza naukowe lub Kasa im. Mianowskiego. Ale i tu ten typ wydawcy nie stoi dziś na wysokości zadania, gdyż w obecnych warunkach nie stać go dzisiaj na finansowanie kosztownych wydawnictw naukowych, gdyż źródła jego dochodów przedwojennych zostały w poważnym stopniu zniszczone. Jedynymi jego zasobami w większości wypadków są zapasy wydawnictw przedwojennych, z których stara się czerpać dochód w miarę, gdy wydawnictwa te są zakupowane przez poszczególne instytucje naukowe lub osoby trzecie. A ponieważ zarówno pierwsza grupa odbiorców, jak i druga stoi dzisiaj przed szalonymi trudnościami natury fi-

nansowej tak, że stać je tylko na łatanie dziur wynikłych z okresu wojennego, stwarza się błędne koło bez wyjścia, które nie prędko wyjdzie z impasu, w którym się znalazło. Zdajemy więc sobie sprawę z tego, że stoimy przed mnóstwem skomplikowanych problemów odbudowy naszego życia tak, że sprawa ruszenia maszyny wydawnictw naukowych nie zostanie w tym konkretnym wypadku uruchomiona w sensie pozytywnym, o ile nie zostanie rozwiązane wiele innych zagadnień i bolączek w skali ogólnopństwowej.

Są jednak w naszym życiu kulturalno-naukowym pewne okazje, pewne specyficzne koniunktury, których zmarnować nie wolno. Okazje te opierają się na prostym kalkulacyjnym rachunku, którego wynik dodatni jest już z góry przesądzony. Kalkulacja ta jest prosta i nie skomplikowana tak, że laik pozna z góry jego aktywa dochodowe. Tą kalkulacją prostą jest książka naukowa o Ziemiach Odzyskanych, rzucona w tej chwili na rynek księgarski. „Kilkaset tysięcy dzieci w szkołach, kilka milionów ludzi, którzy wyruszyli na zachód i tam się znajdują, czeka na publikację natychmiastowe, dostępne z powodu taniej ceny, kolportowane dziesiątkami tysięcy, orientujące czytelników w tej rzeczywistości nowej, w której się znaleźli. Idzie o rzeczywistość tej dzieje, charakter, warunki gospodar-

cze, możliwość wnikania w ducha wybranej przez nich krainy, czy to będzie Śląsk, Ziemia Lubuska, Pomorze Zachodnie, czy Wschodnie. Trzeba wyjść z pomocą nauczycielom, instruktorom oświaty i kultury dorosłych, urzędnikom administracyjnym, komórkom prowincjonalnym partii, organizacjom młodzieżowym, uniwersyтелям ludowym, prelegentom, na których spada obowiązek wygłaszania odczytów i pogadanek na temat ośrodków, w których się nagle bez przygotowania znaleźli. Ziemie Odzyskane — jak dotąd — cierpią na straszny głód książki“. Przeto nie wolno nam dłużej zostawiać ludzi na tych ziemiach w takim stanie, nie wolno wobec otaczającej jeszcze, mimo wszystko niemieckizny, zostawić tych ludzi bez układu polskiego punktu widzenia na te ziemie. Człowiek na Ziemiach Odzyskanych mimo woli z braku innej literatury chwytając literaturę naukową niemiecką, znajdującą się wszędzie, łatwo dostępną, by dociec do najjednego sedna problemu, który przed nim wstąpi. W literaturze tej znajduje niemiecki punkt widzenia na te sprawy, punkt, który jest obłudą i fałszem, dostosowanym do politycznych interesów niemieckiego parcia na wschód. Nie wolno nam nie przeceniać roli tej literatury. Już dziś można zaobserwować zupełnie błędne pojęcia u inteligentów polskiego na sprawę kolonizacji krzyżackiej na Mazurach i Warmii. Przekładów takich mnożyć można więcej: Staje się to niewątpliwie dlatego, że nie ma dotąd literatury naukowej o Ziemiach

Odzyskanych w takim stopniu, w jakim wymaga tego obecna rzeczywistość polska. Prawie nie ma dotąd literatury naukowej, dotyczącej pewnych problemów, w której polski punkt widzenia był przedstawiony, gdzie by były namacalnie przedstawione procesy dziejowe, gospodarcze i społeczne w taki sposób, w jaki nam mówi nasza niesfałszowana nauka i racja stanu. Nie chodzi bowiem tu o wybielanie polskich poczynań na tych terenach i wydobycie sztuczne roli, którą na Ziemiach Odzyskanych pełniliśmy. Chodzi o prawdę historyczną nawet z jej ciemnymi kartami dla naszego narodu, chodzi o prawdę rzetelną, prawdę, która ma znaczenie budujące. Jak jednak przykro przyznać, że takiej literatury dotąd o Ziemiach Odzyskanych nie ma.

Leży przed nami mała książeczka. Czytamy napis: „Biblioteka Popularno-Naukowa“, seria: „Ziemie Odzyskane“. Dalej autor i tytuł: Stanisław Knauff: „Wojna zaczęła się w Gdańsku“. Wydawca: „Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych“, Warszawa, 1946, str. 48. Nie mamy żadnych wątpliwości, że jest to książka z serii tych, które dr. Stanisław Helztyński zapowiedział, jako redaktor, już w grudniu ub. roku, jako serię wydawnictw naukowych, poświęconych Ziemiom Odzyskanym. Zaglądamy do wnętrza. Książka Knauffa opowiada o momentach września 1939 roku, kiedy w Gdańsku wojujący hitlerizm zdobywał bezskutecznie Westerplatte i ogłosił całemu światu zagładę Polski. Autor, urzęd-

Szeroki horyzont

PONURA PRAWDA.

W powodzi wiadomości zawartych w powyższym angielskim tygodniku tonie niepostrzeżenie jedna, wyrażona w krótkim zdaniu: „Polska opłata za zwycięstwo — 80 proc. dzieci chorych albo zagrożonych gruźlicą“.

To jedna wiadomość... Inny tygodnik z tej samej daty przynosi ciekawe sprawozdanie, które łączy się z tą smutną prawdą, zawartą powyżej i obywa się bez komentarzy. Chodzi mianowicie o to, iż dla poważnego obserwatora europejskich stosunków ujawniają się ostatnio pewne fakty, które pozwalają publicznie angielskiemu na zatytułowanie swych uwag — Europejskie Szaleństwo.

Wynika z nich, że już teraz zaledwie w rok po wywalczonym krwawo zwycięstwie, świat wykazuje straszliwy zanik instynktu samozachowawczego, który u podobnia — zwłaszcza Europę — do wielkiego zakładu dla umysłowo chorych.

Znają wszyscy fakty europejskiej rzeczywistości, nad którymi stoi niby ponure widmo — GŁÓD. UNRRA ma już na wyczerpaniu swe zasoby żywnościowe. Urząd żywnościowy w Waszyngtonie zasypany jest prośbami delegacji z całego świata, domagającymi się natychmiastowej wysyłki żywności, dla stojących w obliczu katastrofy krajów. Na całym świecie zaznacza się wyraźna tendencja do zredukowania racji żywnościowych, a istnieją poważne obawy, że nie są to przedsięwzięcia tymczasowe, w obliczu przednówka, a tylko zarządzenia na długą metę. I nie tylko z Polski nadchodzą alarmujące wieści o zastraszającym wzroście śmiertelności wśród dzieci.

W tym samym czasie rozmaite kraje europejskie sąsiadujące bezpośrednio lub leżące nieopodal głównych ognisk głodu, mają inne poważne zamartwienie: co zrobić z nadwyżką żywności, którą posiadają na składzie, a której nikt nie chce od nich kupić. Tak, to nie jest żart, a tylko ponura prawda.

Duńscy producenci mięsa i bekonów nie znajdują nabywców na swe towary. Powoduje to magazynowanie w chłodniach olbrzymich ilości tych artykułów żywnościowych, które byłyby zbawieniem dla setek tysięcy ludzi w krajach środkowej Europy. Rolnicy otrzymali oficjalne ostrzeżenie, wzywające do zredukowania uboju bydła do niezbędnego minimum,

ponieważ pojemność tych wielkich chłodni jest również ograniczona. Również i bogactwa morza nie mogą być wykorzystane — duńscy rybacy zawarli porozumienie, w wyniku którego ograniczą swe połowy do 1/10 normalnej wysokości. Tak samo i szwedzcy kupcy rybni mają poważne kłopoty ze znalezieniem kupców na tegoroczne połowy. Chcieli oni nawet sprzedać głodującym krajom Europy swe towary za połowę ceny rynkowej, ale mimo to nie znaleźli nabywców. Spowodowało to — wiadomość zupełnie w stylu przedwojennym — konieczność wyrzucenia z powrotem do morza 2/3 ostatnich połowów.

Morza północne obfitują w tym roku w ryby w takiej ilości, jaka jest niespotykana od wielu lat. Ale ani Natura, ani szwedzcy, ani duńscy rybacy nie uwzględnili jednego zasadniczego problemu: najpierw powinien iść interes głodujących ludzi, a potem dopiero możliwości płatnicze głodujących krajów.

WIDZIANE W CIEMNOŚCIACH.

Pod koniec ostatnich działań wojennych na dalekim wschodzie, zdarzało się wielokrotnie, że japońscy zwiadowcy, którzy w ciemnościach nocnych pełzali ku liniom amerykańskim, wykrywani byli bez zapalenia reflektorów na wieśset metrów przed osiągnięciem swego celu. Poprostu wśród nocy odzywała się seria z pistoletu maszynowego, która prawie nigdy nie chybiła.

Czy amerykańscy strzelcy wyborowi mogli widzieć w nocy? Niedawno, dowództwo wojsk Stanów Zjednoczonych uchyliło rąbek tajemnicy, odpowiadając twierdząco na to pytanie.

Strzelcy wyborowi amerykańscy używali specjalnego teleskopu elektronicznego, zmontowanego na pistolecie maszynowym, który pozwalał im na oglądanie na zielonym tle pełnego obrazu obszernej pola widzenia w promieniu kilkuset metrów. Cel oświetlany był nieustannie niewidzialnymi promieniami ultra-czerwonymi i wszelkie próby maskowania ze strony Japończyków były z góry skazane na niepowodzenie, gdyż przyrząd ten pozwalał na widzenie znacznie wyraźniejsze i dokładniejsze niż gołym okiem w świetle dziennym.

Zrealizowanie projektu tej broni, która otrzymała oficjalną nazwę „sniperscope“ nie było bynajmniej rzeczą łatwą, gdyż nauka nie zna dotąd sposobu przekształcania promieni ultra-czerwonych na takie, które możemy dostrzec naszym wzrokiem. Trzeba było dojść do tego określą drogą przez skomplikowane urządzenie, które zbliżone jest do telewizji. Promienie ultra-czerwone uderzają mianowicie w cel i są odbijane z powrotem do teleskopu, który je ogniskuje przez soczewki na specjalnym zwierciadle. I jeszcze ten obraz nie może być sam widzialny, ale pozwalała on na utworzenie na drugim zwierciadle t. zw. obrazu elektronicznego. To drugie zwierciadło jest pokryte substancją, która wydaje zielone odbłaski kiedy promieniają na nią elektrony. W ten sposób strzelec może widzieć przez skomplikowany system soczewek dokładny wizerunek całego przedpoła.

Trzeba dodać, iż ujawnienie tego wynalazku wywołało szereg zastrzeżeń przede wszystkim ze strony... policji, która obawia się, że wcześniej czy później dostanie się on w ręce świata przestępczego, który będzie mógł zrobić zeń użytek bynajmniej nie przeciw Japończykom.

GŁOSY ZJEDNOCZONYCH NARODÓW

Tu nie chodzi o to, co oni mówią, ale o to jak oni mówią, przynajmniej takiego jest zdania major George Robert Vincent, który jest szefem sekcji dokumentacji Zjednoczonych Narodów. Zadaniem tej jest m. inn. nagrywanie na płyty i udostępnianie do audycji radiowych głosów wszystkich ważniejszych delegatów, przybyłych na obrady Zjednoczonych Narodów. Vincent uważany jest za jednego z największych fachowców, specjalistę od oceny radiofoniczności głosu. Oto jego analiza niektórych mówców z Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Henri Bonnet (Francja): Dobry timbre, najlepszy głos w ONZ.

Sir Alexander Cadogan (Wielka Brytania): Czysty, kulturalny, bez poczucia humoru, dobitny.

Quo Tai-chi (Chiny): Pełen taktu, uparty.

Podpułkownik W. R. Hodhson (Australia): Typowy głos prawnika.

Doktor Oskar Lange (Polska): Jedyny głos w Organizacji Narodów Zjednoczonych z poczuciem humoru.

Trygve Lie (Norwegia, Sekretarz generalny): czarujący, bardzo czysty.
Edward Stettinius (USA): głos „jowialnego kupca“.

LOTNICTWO MA MINUSY.

Zupełnie niespodziewany aspekt komunikacji lotniczej dały pewne wypadki, które miały miejsce w Stanach Zjednoczonych.

W Seattle repatriowany samolotem żołnierz amerykański zachorował na ospę. Wywołało to wielką wrzawę, gdyż lekarze domagają się wprowadzenia przymusowej kwarantanny dla... podróżujących samolotami transatlantyckimi. Umotywowanie jest następujące: większość chorób epidemicznych ma dwutygodniowy okres wylegania, to znaczy, że od momentu zarażenia do wystąpienia objawów, mija ten właśnie okres czasu.

Podróż statkiem z krajów będących z dawien dawna siedliskiem zarazy, trwała z reguły dłużej, co już stanowiło pewnego rodzaju kwarantannę, ponieważ najbardziej było prawdopodobne, że zarażony zachoruje na pokładzie. Pozwalało to skolei na odseparowanie go w porcie docelowym. Natomiast dziś, Amerykanin, który walczył we Wioszech i mógł niedawno przebywać w strefie dżumy w Napolu, już na drugi dzień jest w Stanach, a podróżny z zagrożonej tyfusem strefy w Chinach już po dwóch dniach drogi przybywa do swego domu gdzieś w Ameryce.

Kwarantanna nie jest niczym nowym. Już w 1845 roku, wszystkie okręty, wchodzące do portu w Wenecji z opanowanych zarazą krajów, musiały stać na kotwicy bez wszelkiej łączności z wybrzeżem przez czterdzieści dni. Nowoczesne przepisy kwarantannowe w Stanach Zjednoczonych przewidują 21 dni odseparowania dla podejrzanych, ale ten sposób przecież nie może być stosowany, dla podróżnych napowietrznych.

Projekty idą przeto w kierunku stworzenia międzynarodowej policji zdrowia, która przez radio podawała by całej sieci placówek wiadomości o wybuchach epidemii na wszystkich częściach globu. Pasażerowie wyjeżdżający do stref zagrożonych byłiby szczepieni, zaś powracający z nich — specjalnie kontrolowani, również po radiowym ostrzeżeniu, wysłanym do władz lokalnych przez tę policję.

Wilk



Mądry i głupi

I.

Jeden głupi, drugi mądry
Szli z Wadowic do Krakowa
I po drodze głupca mądry
Tak bez przerwy edukował:

Wszak nam rozum po to dany,
Aby nim oświecać drugich,
Nie żalować im nagały,
Lecz pochwalać ich zasługi,

Widzieć przykład w pięknym czynie,
Stawiać cnotę ponad siłą,
Aby wszystko jak w machinie
Sprawnym biegiem się toczyło.

Cdy tak mówi wciąż po drodze,
Zbójcy z krzaków wyskakują:
„Ściągać łachy!“ — Krzyczą srodze
I pałkami wymachują.

Mądry ku nim rusza mężnie,
Ganiąc rozbój na gościńcu,
Wymyślając m potężnie
Od łobuzów i złoczyńców.

Zapłm jednak skończył zdanie,
Pałką dano mu po głowie,
Tak, że cakiem niespodzianie
Mądry znalazł się aż w rowie.

Głupi pojął rzecz poprostu,
Huknął groźnie, w garście splunął,
I, ścisnąwszy mocno kostur,
Jak nie machnął, jak nie luźnął —

I w trzy migi zbójców odparł,
Poczym mędrca podniósł z rowu,
Mocnym go ramieniem podparł
I ruszyli w drogę znowu.

II.

Jedeⁿ głupi, drugi mądry
Szli z Wadowic do Krakowa
I po drodze głupca mądry
Tak bez przerwy edukował:

Wszak nam serce po to dane,
Aby wzruszać się radośnie,
By uczucia mieć świetlane,
Piękno wielbić, kochać wzniośle.

Gdy przemawiał tak gorąco,
Pasteczkę napotkali
Z gału właśnie wychodzącą
I niosącą koszyk malin.

Mądry jej honory czyni,
Seklą słówek zasypuje,
Przyrównywał do bogini
I jak bóstwu jej hołduje.

Ona słucha wśród karesów,
Bo kocⁿliwa jest pasterka,
Lecz gdy słowem nie ma kresu
Ku głupiemu raz wraz zerka.

Ten podkręca żwawo wasa,
Skrawym ku niej strzela okiem
I bez słowa niby w płasach
Pasteczkę łap pod łokieć.

I coś jęł sobie szepać
I chichotać w tajemnicy.
Wkońcu, zamiast dalej dreptać,
Buch! Przepadli gdzieś w pszenicy.

III.

Jeden głupi, drugi mądry
Szli z Wadowic do Krakowa
I po drodze głupca mądry
Tak bez przerwy edukował:

Wszak nam język dany po to,
Aby umieć rzadzić godnie,
By górować nad ciemⁿotą,
Rzucać hasła, zwalczać zbrodnie.

Gdy tak mądrze o języku
Mądry cęgiem perorował
I przykładów snuł bez liku,
Weszli wkońcu do Krakowa.

A był właśnie wiec na ryⁿku.
Na trybunach sto sztandarów,
Dostojników tłum w ordynku,
Dwie orkiestry, pułk huzarów.

Rzecz mądry do głupiego:
Ja pokażę im co umiem
I, łokciami walcząc w biegu,
Żwawo zmierza ku trybunie.

A gdy stanął heⁿ na szczycie,
(Krótka przerwa była właśnie)
Jak się nadmie i z mównicy
Całą siłą jak nie wrześnie...

Aż się spłoszył pułk huzarów
I orkiestra grać zaczęła.
A za chwilę wśród sztandarów
Chryja nowa dziać się jęła:

Tłum się cały wmię rozdwaja,
Krzyk podnoszą andrusiacy,
Lecą laski, czapki, jaja,
Lecą wszyscy krakowiacy.

A przed nimi galopuje
Żwawym krokiem nasz mądrala
I coś jeszcze peroruje,
Ale szybko się oddala.

Pogⁿął za nim wiernie głupi,
Sypiąc wkoło guzem, sińcem,
Gⁿął przez Szlak i Monte Lupi,
Ściął go aż za Zwierzyniec.

Gdy go dognął na Krowodrzy:
Nie bądź głupi — rzecz głupi —
„Jak się będziesz jeszcze mądrzył,
Przymkną cię na Monte Lupi“.

IV.

Gdy wracali mądry z głupim,
Do Wadowic spod Krakowa,
Wspominając Monte Lupi,
Głupi mędrca edukował.

ŻÓŁW I MYSZ.

Ze zamknięty w skorupie niewygodnie
siedział,
żałowała mysz żółwia, żółw jej odpo-

wiedział:
— Mnie żałujesz? Mną sobie nie zaprzę-
taj głowy.
Mam swój dom, — i na Urząd gwizdę
Mieszkańciew!

Redaguje: Kolegium redakcyjne, Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Sontc P. K. O. — Nr I—727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych, Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“ Widok 24 B-09009

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 35.